

Tomasz Kozłowski  
Katedra Edukacji i Nowych Mediów  
Wydział Nauk Społecznych  
Collegium Da Vinci, Poznań

## Niewinność i konsumpcja Czyli od dziecka do post-dziecka

Gdy piszę te słowa mija zaledwie kilka dni od chwili, gdy światowe media obiegły zdjęcia małego chłopca, mieszkańca Aleppo, który z głęboką raną na czole siedzi cicho i spokojnie we wnętrzu karetki pogotowia w oczekiwaniu na jakąkolwiek pomoc. Obraz był wyjątkowo sugestywny: chłopczyk był tak zszokowany bombardowaniem, że nawet nie płakał. Budziło to skojarzenia z głęboką traumą, dla której brakuje już skali. Przez dwa, trzy dni świat żył tą przygnębiającą narracją. Kim jest chłopiec? Kim jest jego rodzina? Czy wszyscy przeżyli? Jak mu pomóc? Podobną chwilową egzaltację Zachód przeżywał przy okazji problemu nieustającej fali uchodźców, kiedy to pojawiły się wstrząsające obrazy ciała trzylatka wyrzuconego na brzeg przez morze. Zdjęcie ponownie stało się okazją do krótkiej dość zadumy nad kondycją współczesności. W jednym i drugim wypadku do takiej refleksji (mniejsza już o jej intencje, czy o rezultaty – to temat na osobny artykuł) Pierwszy Świat poczuł się niejako sprowokowany obrazem dziecka. Niezawinione cierpienie, a cierpienie dziecka w zasadzie zawsze uważane jest za niezawinione, staje się jednocześnie świadectwem zła. Tak przynajmniej się wydaje. A jednak – nie jest to do końca prawdą. Jeśli spojrzeć na dzieciństwo zarówno z perspektywy historycznej, jak i przez antropologiczne, nieco krytyczne okulary na czasy nam współczesne, raptem okaże się, że dziecko i dzieciństwo, to swoisty konstrukt kulturowy, który ma swój początek, i który ewoluuje. Innymi słowy – do wyobrażenia jest sytuacja, gdy zarówno przerażony chłopczyk z Aleppo, jak i ciało jego niewiele młodszego kolegi u brzegów Europy nie wywołują większych emocji i nikt nie uznaje owej znieczulicy za godną potępienia.

Interpretacja obrazu i roli dziecka nie jest jednak zawsze tak jednostronna i prosta. Bywa niekiedy bardzo wyrachowana. Z jednej strony dziecko otaczane jest opieką, jednak z drugiej – staje się przedmiotem bezwzględnych zabiegów marketingowych. Z jednej pilnie strzeżone są wszelkiego rodzaju cezury wieku, z drugiej – coraz większa gałąź oferty zamienia się w przeznaczoną dla wszystkich, bez względu na wiek. Nietrudno natknąć się na obrazy dziecka charyzmatycznego, wyrachowanego narcyza, reżysera i aktora medialnego spektaklu, gotowego walczyć o laury i zaszczyty. Ale można również spotkać się z przejawami tęsknoty za niewinnym, nieskażonym umysłem kilkulatka, którego standardy funkcjonowania miałyby rzekomo ułatwić dorosłym konsumentom osiągnięcie rzeczywistego szczęścia. Z samego obrazu dziecka i społecznie akceptowanych postaw względem niego można wysnuć wiele ciekawych wniosków o kulturze, która je wytworzyła. Pytanie, jaki jest obraz dziecka dziś, w czasach spod znaku *high speed*, na ile zmienił się on w stosunku do czasów minionych i co może on powiedzieć o nas samych? Zwłaszcza, że kwestia ta wydaje się nierozstrzygnięta do końca.

Warto pamiętać, że człowiek jest gatunkiem, który w pewnym sensie wytworzył podwójne dzieciństwo. Jesteśmy dziecinni zarówno z natury, jak i wspomagani na tym gruncie ze strony kultury i społeczeństwa. Co oznacza być „dziecinnym z natury”? By lepiej zrozumieć to interesujące zjawisko należy wspomnieć stworzonko zwane aksolotlem. To jedyny w swoim rodzaju płaz, który nie osiąga formy dorosłej, a

zatrzymuje się na wcześniejszym stadium rozwoju i w nim właśnie osiąga dojrzałość płciową. Poprzestaje na formie larwalnej. To mniej więcej tak, jakby kijanka nie przeobrażała się w dorosłą żabę, tylko sama składała jaja, z których wykluwają się kolejne pokolenia kijanek. Naturalnie, można pomajstrować przy gospodarce hormonalnej aksolotla i przeobrazić go w postać dojrzałą – tzw. ambystomę – tyle tylko, że natura z jakichś powodów uznała ów zabieg za niepotrzebny, w związku z czym nie występuje on w stanie naturalnym. Zjawisko to w przyrodzie niebywale rzadkie, aczkolwiek niektórym antropologom nie brakuje fantazji i hipotezę o neotenu – a więc rozrodzie w fazie niedojrzałej – przenoszą również na człowieka. Zdaniem niektórych – i jest to teza bardzo zasadna – jesteśmy nie tyle mnożącymi się larwami naczelnymi ile nad-rozwiniętymi małpimi dziećmi. Nasza budowa bardzo nas do nich upodabnia: mamy cofnięte twarzoczaszki, brak wału nadoczodołowego, niewiele owłosienia, nasze stopy pozbawione są chwytnych kciuków... jednym słowem przypominamy małe szympansy, goryle i orangutany, które dopiero z czasem zamieniają się w małpy „pełną gębą” – wysuwają im się pyski, rośnie wał, a stopy zamieniają się w *de facto* drugą parę dłoni. Hipoteza ludzkiej neotenu miałaby tłumaczyć niespożyta gotowość ludzi do nauki przez całe życie – pod tym względem jesteśmy wyjątkowi. Potrafimy uczyć się szybko, chętnie i do późnej starości – takie możliwości typowe są dla mózgu wiecznego dziecka. Co się z tym zresztą łączy to niesłabnąca przez większość życia chęć do zabawy i szeroko pojętej eksploracji.

Dzięki takiemu rozciągniętemu do granic byciu dzieckiem ludzie są inteligentnym, gotowym do nowych wyzwań gatunkiem. Owe predyspozycje zapewne – o ile przyjąć, że teza ta jest trafna – są szeroko eksploatowane przez współczesną popkulturę. Nasze zabawowe skłonności i przyrodzona dziecinność robią z nas szczególnie łatwy cel dla zabiegów marketingowych i rozwijającej się w zastraszającym tempie oferty usługowej.

To jedna, biologiczna strona naszego bycia dzieckiem. Jakby tego było mało, kultura wynalazła również swoją „wersję” (a dokładniej: swoje wersje) dzieciństwa, które na biologiczny fundament dodaje swoistą nakładkę. Zdaniem klasyka Philippa Ariès dzieciństwo stanowi przykład złożonego społecznego konstruktów. Choć jego domysły zostały dziś mocno uzupełnione, a w niektórych miejscach zweryfikowane, faktem pozostaje, że Ariès położył podwaliny pod socjo-historyczną refleksję nad fenomenem dzieciństwa. Tezy zawarte w kanonicznej już „Historii dzieciństwa” każą z zupełnie innego punktu widzenia spojrzeć na obrazy, o których mowa była na początku mojego tekstu. Otóż według Ariès, jak również na podstawie analizowanych przez niego świadectw poszczególnych epok, można wysnuć wniosek, że nie zawsze dramat dziecka był niekwestionowanym złem. W wiekach średnich prawdopodobnie nie różniło się ono od cierpienia osoby dorosłej jako że brakowało wykrystalizowanej koncepcji dziecka jako takiego. O ile jeszcze w czasach starożytnych można było natrafić na wizerunki dzieci w sztuce, o tyle wieki średnie na polu tym nieoczekiwanie zamilkły. Świadectwa historyczne w postaci dokumentów, ksiąg, dzieł sztuki, listów, sugerują zgoła odmienny stan rzeczy: dzieci w chwili, gdy były w stanie same zatroszczyć się o siebie (mowa tu raczej o umiejętności elementarnej troski o byt, samodzielnej jedzenia, ubierania się itd.), wkraczały w świat dorosłych, bez żadnych etapów pośrednich i ulgowego traktowania. Dziecko stawało się błyskawicznie elementem rodziny, która jeszcze przez długi czas rozumiana była w głównej mierze jako wspólnota *stricte* ekonomiczna.

Dopiero z czasem miało pojawić się nieco więcej miejsca na rodzinne uczucia i emocjonalne zaangażowanie (nie znaczy to, że wcześniej nie było ich wcale, nie były jednak postrzegane jako wartość sama w sobie). Jeszcze do czasów nowożytnych szacunek do dziecięcego życia pozostawał – z perspektywy naszych standardów – wiele

do zyczenia. Śmiertelność była na tyle wysoka, że po prostu nie było sensu szczególnie do dzieci się przywiązywać. Dzieci w wieku poniżej 3 lat po prostu nie były brane pod uwagę jako „pełnoprawni”, albo może raczej „pełnowymiarowi” członkowie rodziny. Sytuacja zaczęła zmieniać się na korzyść dzieci za sprawą Kościoła, który – co rozumiałe – mocno przejmował się roztrząsaniem kwestii fundamentalnych, a więc grzechu pierworodnego i natury ludzkiej. Pytania o przyrodzone człowiekowi dobro bądź zło stanowiły chleb powszedni filozofów, teologów i księży, w pewnym sensie zatem rodziła się prosta dość jeszcze, ale refleksja edukacyjna i pra-psycho-rozwojowa: jak postępować z człowiekiem od najmłodszych jego lat, by ten mógł dostąpić zbawienia? Odpowiedzi na to pytanie były oczywiście mocno zróżnicowane, z kolejną dekadą, kolejnym wiekiem, pojawiały się coraz to nowe pomysły, zgodnie z którymi dziecko raz postrzegano jako wcielenie naturalnej dobroci, innym razem zaś jako diabelskie naczynie, po brzegi wypełnione żądzą i chęcią czynienia zła, które dopiero przyjdzie opróżnić i napełnić od nowa właściwą treścią.

Koncepcje oświeceniowe położyły z kolei podwaliny pod współczesny system edukacyjny i przyczyniły się do ukonstytuowania refleksji typowej dla psychologii rozwojowej: jak należy postępować, by nie wypaczyć tego, co w dziecku najlepsze i naturalne, czy proces wzrostu można w jakiś sposób usprawnić? Co należy z niego wyrugować? Czy pieczę nad nim można powierzyć państwu i – na przykład – stworzyć/usprawnić instytucje edukacyjne?

Co ciekawe, wynalazek dzieciństwa przyniósł w konsekwencji również pojawienie się dwójakiego stosunku do dziecka: czułości, ale i irytacji, czego efekty obserwujemy do dziś choćby przy okazji kolejnych odsłon sporu (urastającego do rangi ideologicznego) wokół zasadności karmienia piersią w miejscach publicznych. Jedni uważają to za naturalny przejaw troski o dziecko, dla innych to brak kultury. Sytuacja, którą obserwujemy dziś to tylko echa tego, o co spierano się już kilkaset lat wcześniej. Już wówczas dzieci zaczęły być traktowane jak „wesołe małpki”, które, nauczone wierszyków i anegdot potrafiły rozbawić towarzystwo. Ale nie brakowało twórczości sugerującej, że jest to zwyczaj – delikatnie mówiąc – niestosowny, jako że „nie ma nic gorszego od słuchania cudzego bachora – jak mówiły słowa jednej z piosenek.

Prawa dziecka, dziś uznawane za oczywistość, pojawiały się stopniowo, w znacznej mierze jako pokłosie początków epoki industrialnej, której mankamenty – nieprawdopodobną nędzę i choroby – tak dobrze sportretował Karol Dickens. Dzieci stanowiły tam nie więcej aniżeli niemal darmo pracującą, gwałtownie przyrastającą i obumierającą, brudną masę. Namysł nad owym stanem przyniósł rozwój polityki społecznej, co w dalszej perspektywie doprowadziło do bardziej pogłębionej refleksji nad losem i przyszłością dzieci.

Drastyczne różnice w postrzeganiu istoty dzieciństwa obserwowane są zresztą i w dzisiejszych czasach i to w obrębie samej tylko Europy. Dla lepszego zilustrowania tej tezy można wspomnieć dwa wydarzenia, które wstrząsnęły opinią publiczną w 1993. W Liverpoolu dwójka dziesięciolatków uprowadziła i zamordowała dwulatka. Jego ciało położyli na torach. Gdy zbrodnia wyszła na jaw, społeczeństwo domagało się kary śmierci, sędziowie natomiast zdecydowali, że sprawcy odpowiadać będą za swój czyn jak osoby dorosłe. W tym samym roku, w Norwegii, w Trondheim, dwóch sześciolatków podczas wspólnej zabawy zaczęło nagle znęcać się nad pięcioletnią koleżanką. Okaleczyli ją i rozebrali. Pobitą do nieprzytomności dziewczynkę koleżdy zostawili na śniegu. Ofiara zmarła. Mimo to, nie zanosilo się na lincz. Sytuację dodatkowo tonowała sama matka zamordowanej, twierdząc, że nie wyobraza sobie, by można bylo mówic o

odpowiedzialności dzieci. Mimo bólu, zdobyła się na wybaczenie, wyraziła współczucie rodzicom małych morderców. Nikt nie musiał ich eskortować. Czy w dalszym ciągu, w obliczu tych dwóch zbrodni, można mieć wątpliwości, że otoczenie w dużym stopniu warunkuje sposób postrzegania dzieciństwa, a co za tym idzie, odpowiedzialności, zmysłu moralnego, świadomości konsekwencji? Względność rozumienia istoty dzieciństwa pozostaje w tym wypadku ewidentna.

W świetle tych krótkich rozważań należy zdać sobie sprawę, że trudno jest mówić o uniwersalnym wzorcu dzieciństwa, tak jak i reguł wychowawczych, które wspierają jego rozwój. Obraz dziecka i dzieciństwa zależy od historycznego momentu, uwarunkowań kulturowych i ekonomicznych, doktryn filozoficznych, stanu nauki etc. Nie da się zaprzeczyć, że rozwój umysłu ma swoje prawa, podobnie jak nie da się zaprzeczyć, że w rozwoju osobniczym żaby występuje forma larwalna. Ale to od kultury zależy, jakie wartości i jakie relacje społeczne na nich obudowane zostaną przypisane do danego stadium rozwojowego człowieka jako te wartościowe. Z tego punktu widzenia dzieciństwo nie zawsze było otaczane czcią, nie zawsze uznawano, by było to czas w historii życia każdego człowieka szczególnie, czy też zasługujący na wyjątkową uwagę. Co więcej, na gruncie relatywizmu kulturowego nie sposób jednoznacznie ocenić, że to właśnie zachodnie podejście, przyznające – chciałoby się rzec – dzieciństwu należne mu, uświęcone, miejsce, jest w jakiś sposób moralnie uzasadnione.

W świetle badań socjokulturowych nagle staje się bardziej zrozumiałe, dlaczego niektóre kultury traktują dzieci w sposób wybitnie przedmiotowy, jako siłę roboczą, czy też walutę w procesach wymiany, żywy towar w aranżowanych mariażach etc. Refleksja ta pozwala również na zachowanie niezbędnego dystansu względem własnych, rodzimych praktyk. Przykładowo, co pewien czas powraca kwestia zasadności (bądź jej braku) kar cielesnych. Zdania, tradycyjnie, pozostają podzielone. Co prawda wyjątkowo trudno jest natrafić na zatwardziałego zwolennika bicia przy użyciu narzędzi, ale „dwa szybkie w pupę” gołą ręką potrafią już bardzo wyraźnie podzielić społeczeństwo. A tymczasem jeszcze niedawno wszystkie zainteresowane dzieci (nie mówiąc o dorosłych) na kanale TVP ABC mogły oglądać „Pana Kleksa w kosmosie”, a wraz z nim wysłuchać piosenki niejakiego dyrektora Kudłacza (sympatyczna choć surowa postać grana przez Emiliana Kamińskiego), który z uśmiechem na ustach śpiewał: „Bywa czasami, że jakieś dziecko próbuje mieć własne zdanie. Wtedy z nim krucho, wtedy z nim kiepsko – to dziecko dostanie lanie”. Na te słowa klasa nastolatków z kosmicznej szkoły, uśmiechnięta, odpowiada ochoczo refrenem: „Sztynno, równo i posłusznie, a do tego bez wahania. Dyscyplina, dyscyplina! To podstawa wychowania!”. Rozumiem, że w świetle dzisiejszego prawa jest to nawoływanie do popełnienia przestępstwa. Zdumiewające, że jeszcze trzydzieści lat temu tekst ten nikogo nie bulwersował.

Nie inaczej ma się sprawa dotycząca kwestii znacznie bardziej delikatnych, takich jak dziecięca seksualność. Na dobre już rozpowszechniło się na Zachodzie przekonanie, że „zły dotyk boli całe życie”. Badania antropologiczne sugerują jednak, że najbardziej boli właśnie na Zachodzie. Są miejsca, gdzie boli znacznie mniej, albo nawet wcale. Wystarczy wspomnieć choćby afrykańskie plemię Keraki, które praktykuje swoisty, długotrwały – bo aż roczny – rytuał przejścia, w trakcie którego chłopcy przeistaczają się w mężczyzn. Robią to... praktykując seks oralny i analny – czynnie i biernie – ze starszymi członkami plemienia. Mile widziane jest, gdy w trakcie nauczą się czerpać z owych czynności przyjemność. To się na ogół udaje. Nie ma mowy jednak o żadnej traumie, łamaniu psychiki na długie lata, choć proces może budzić skojarzenia z wojskową „falą”. Rytuał nie angażuje agresji, podbudowany jest tradycją i wiarą, że męskie nasienie jest nośnikiem

pożądanych cech męskich. Chłopcy, którzy ukończyli rytuał od następnego roku sami pojawiają się już w miejscu dorosłych seks-instruktorów.

Banalne w tym świetle wydaje się już twierdzenie, że skoro kultura może zrewidować swój pogląd w kwestii tak zasadniczej, to i w innych, znacznie bardziej subtelnych, może z biegiem czasu ewoluować jeszcze szybciej czy w sposób bardziej wyrazisty, np. jaką rolę w życiu jednostki odgrywa pełna bądź niepełna rodzina, czy istnieje coś takiego jak „osobowość jedynaka”, „dziecko alkoholika”, jaką rolę odgrywa wychowanie w duchu liberalnym, konserwatywnym, na ile dziecku można pozwalać, wreszcie co stanowi traumę albo od którego roku życia zaczyna się pełnoletniość i całkowita odpowiedzialność za swoje czyny.

Socjologiczny dystans do kwestii „konstruowania” dzieciństwa na przestrzeni historii pozwolił na wyróżnienie kilku ciekawych „etapów” w tym procesie. Nawiązując od świata stawonogów możemy stwierdzić, że najpierw ludzie przechodzili rozwój prosty: brak jest jakichkolwiek faz przejściowych, pojawia się osobnik młodociany, który jest miniaturą dorosłego. Rola opiekuna sprowadza się na dostarczeniu wikt i opierunku. Gdy już młodociany jest zdolny do podjęcia lekkich prac domowych – jest odchowany. Uczestniczy w życiu dorosłych, choć wykonuje lżejsze prace. Ale tylko dlatego, że jego mięśnie i stawy nie pozwalają na więcej.

Następnie, wraz z pojawieniem się koncepcji dziecka, kultura wynalazła rozwój złożony. Dziecko jest w pewnym sensie larwą osobnika dorosłego: posiada swoje prawidła rozwoju, ale generalnie jest ono definiowane z punktu widzenia stadium docelowego. Dziecko to stan przejściowy. Pielęgnacja tegoż stanu ma na celu doczekanie się fazy pełnowartościowej. Dzieciństwo jest więc ważne, ale tylko dlatego, że bez „odpowiedniego” dzieciństwa nie sposób stać się pełnowartościowym dorosłym.

Po tym etapie następuje refleksja iście postmodernistyczna: w klimacie poszanowania dla wszelkiej inności dzieciństwo urasta do poziomu inności w pełni suwerennej. Nie jest ono zatem „przystankiem” na drodze do dorosłości. Jest ono raczej jakością samą w sobie, immanentną całością, z własnym językiem, własną kulturą, własną strukturą społeczną. Niejako w tym właśnie duchu Judith Rich Harris formułuje znamienne koncepcję socjalizacji rówieśniczej i stwierdza: wychowanie przez rodziców to martwy, pusty mit. Dzieciaki robią wszystko, by rodzice ich nie wychowywali i wychowują się same: tworzą swoje grupy rówieśnicze, które są całkowicie odrębnym światem „na przekór” tego, który tworzą dorośli. Owszem, dzieci są podobne do rodziców, ale podobieństwa między rodzicami a potomstwem to nie kwestia wychowania, a dziedziczności. Cała reszta dokonuje się w obrębie grup rówieśniczych, które pozostają odrębnymi całościami, i które w żaden sposób nie są podległe światom dorosłych.

Kolejna faza to dość osobliwy kolaż, przez współczesnych krytyków ochrzczony mianem zanikania dzieciństwa ewentualnie dewaluowania dorosłości: światy dzieci i światy dorosłych nie są już względem siebie czymś obcym i nieprzenikalnym, przeciwnie, ich granice zaczynają się zacierać. Dzieci nabierają cech dorosłych, dorośli zaś – cech dzieci. Jak sądzę, obecnie możemy obserwować schyłek tej fazy. W fazie tej pierwiastki dziecka i dorosłego w ciekawy sposób równoważą się, co zresztą doskonale wyraża się w sposobie konstruowania oferty popkulturalnej: coraz częściej napotkać można treści przeznaczone po prostu dla wszystkich, gdzie ograniczenia wiekowe są tylko teoretyczne, w praktyce przekaz dekodowany jest przez niemal wszystkie generacje, może z wyłączeniem absolutnie najmłodszej (co nie oznacza, że przez wszystkich dekodowany jest identycznie).

Niemniej, jak wspomniałem wcześniej, etap ten być może ma się już ku końcowi. Są powody przypuszczać, że kolejna faza przesunie akcenty w stronę eksponowania pierwiastka dziecięcości. To dziecko staje się pod pewnymi względami wzorcem do naśladowania, to ono stanowi punkt ciężkości, ku któremu zdążać ma dorosła wizja świata. Niekoniecznie chodzi tutaj o wywyższenie w nowotestamentowym duchu, które stawiało duży nacisk na czystość dziecięcego serca i jego intencji. Kultura Zachodu czyni głęboki ukłon w stronę nie tyle dziecięcej emocjonalności, ile dziecięcego umysłu. Nawet zielony mistrz Yoda w jednej z części gwiazdnowojennej sagi zauważa „zaiste genialny umysł dziecka jest”, w chwilę po tym, gdy młodzik podaje na tacy proste rozwiązanie problemu trapiącego całą radę zakonu Jedi. Dziecko uosabia tam osobliwą równowagę pomiędzy przenikliwością a prostotą. Popkulturalna warstewka dobrze oddaje jednak ducha ostatnich kilkunastu lat, które skutecznie redefiniują pojęcie i sens współczesnej edukacji. Jeszcze kilka dekad wcześniej szkolnictwo utrzymane było w duchu funkcjonalno-industrialnym. Szkoła była jak fabryka komponentów. Obsługa społeczeństwa maszyn była już zbyt złożona, by mogli poradzić sobie z nią analfabeci. I należało temu po prostu wyjść naprzeciw. Innymi słowy, dziecko trzeba było stosownie przerobić na wartościowego członka społeczeństwa. Dziś takie podejście jest już zupełnie anachroniczne. Wizjonerzy edukacji przyszłości, jak choćby Ken Robinson, w swoich publikacjach i wystąpieniach zastanawiają się, w jaki sposób nie zdusić geniuszu, który pobrzmiwa w niemal wszystkich dziecięcych umysłach jeszcze zanim trafią pomiędzy edukacyjne tryby. Jak zachować kreatywność? Jak nie stłumić dziewiczego zachwyty nad światem? Jak podtrzymać elementarną ciekawość i głód wiedzy?

Salman Khan, pionier i popularyzator idei de-schoolingu (odejście od sformalizowanej, instytucjonalnej edukacji) idzie w tych rozważaniach znacznie dalej i mówi wprost: dzieci, w odróżnieniu od dorosłych, przeżywają notoryczny, a przynajmniej znacznie częstszy i silniejszy, przepływ (rozwijające, przyjemne doświadczenie zaangażowania w działanie). Na podobne prawidła wskazuje David Goleman, który w niedawnej książce „Fokus” stwierdza, że najmłodszy, w odróżnieniu od dorosłych, silnie doświadczają, są głęboko zanurzeni w rzeczywistości, wszystko, czemu się poświęcają, robią z ogromnym poświęceniem, żyją chwilą. Te umiejętności gdzieś z biegiem życia parują. Ulatniają się skutecznie do mniej więcej trzydziestego roku życia, kiedy to nie zostaje z nich już prawie nic i człowiek, po trosze siłą inercji, przestaje się uczyć. Większość dochodzi wówczas do wniosku, że „to już koniec”, zakończyli edukację, doszli do tego oto miejsca, w którym są, od tej pory niewiele się już zmieni, czas odcinać kupony. Władzę przejmuje przyrodzone lenistwo, ale także zewnętrzne, nie do końca zależne od nas warunki: obowiązki domowe, zawodowe, stres, ogromne tempo życia, permanentne zmęczenie. Edukacja, przede wszystkim ta narzucona samemu sobie, to ogromny wydatek energii psychicznej, kosztowna, dość męcząca inwestycja, zupełnie jak trening fizyczny. Zachodnie społeczeństwo przestaje się uczyć z dokładnie tych samych powodów, dla których tyje. Dzieje się coś, o czym domorośli coache powiedzieliby: zamiera w nas wewnętrzne dziecko, pora je na powrót przywrócić do życia.

O tym, że starość ma zły PR nie trzeba nikogo przekonywać. Pytanie, czy identyczny proces nie dokonał się na obszarze dorosłości. Bycie mentalnie dorosłym nie brzmi dziś już jak wyraz uznania, obojętnie, dla zasług, dla odpowiedzialności, dla osiągniętej stabilizacji. Bycie dorosłym traktowane jest coraz częściej na równi z mentalną degrengoladą: z brakiem wyobraźni, z nieelastycznością, wąskimi horyzontami, indywidualnym interesem, strachem przed spełnianiem swoich marzeń. To, co w pamiętnym obrazie „Stowarzyszenie umarłych poetów” ukazano jako smutny

odosobniony przypadek (ustatkowany ojciec z *upper-middle class* tłamszący aktorskie zamiłowania syna i doprowadzający go do samobójstwa) dziś jest postrzegano jako niebezpieczna tendencja, ciągnąca w stronę powszechnej normy: dorosłej zapominamy o tym, co nas naprawdę „kręci”, co podpowiada nam instynktownie nasza dziecięca, niewinna natura. Równocześnie pojawia się trend, by na ile to możliwe owe braki niwelować: spełniać swoje marzenia, kultywować zapomniane rytuały, bawić się, dopieszczać wewnętrzne dziecko. Skrajny przykład takich praktyk do osobiwe nowojorskie przedszkole dla dorosłych „Preschool Mastermind”, w którym za ciężkie pieniądze – jako że to usługa na wskroś elitarna (*sic!*) – oferowany jest powrót do bycia dzieckiem. W sercu Brooklynu otwarto przybytek, za wizytę w którym można zapłacić nawet do 1000 dolarów, ma się za to możliwość uczestnictwa w zabawach, w malowaniu palcami, przebierankach, śpiewaniu piosenek, korzystania z placu zabaw w grupie indywiduów podobnie desperacko żądnych takiej sentymentalnej podróży.

Spółeczny konstrukt dzieciństwa i dorosłości jest – jako socjolog muszę i chcę w to wierzyć – niepozbawiony pewnej wewnętrznej logiki. Edukacja w określonej formie miała stanowić odpowiedź na konkretne społeczne potrzeby. Kultura i ideały, którym hołduje, nie jest od tegoż sprzęgnięcia wolna: ona także odpowiada na pewne społeczne i indywidualne potrzeby, które ujawniają się w danym historycznym kontekście. Jak przekonuje Khan w swej „Akademii Khana”, 45-minutowe lekcje przedzielane przerwą to nie rezultat przyjęcia jakiegoś odgórnego prawa psychologii rozwojowej, wedle którego to właśnie trzy kwadransy z jakichś powodów są optymalne w procesie nauki. A potem należy pobiegać lub zjeść jabłko. Na taką porcję wiedzy zdecydowano się ze zgoła innego powodu: to złoty środek pomiędzy przetransferowaniem wystarczającej dawki informacji a... niebezpieczeństwem rozbudzenia i podtrzymania zbytnej ciekawości. Nie ma sensu, by uczeń drążył. Indywidualne zapatrywania są mało produktywne w społeczeństwie masowym. Przerwa służy zduszeniu ryzyka wykształcenia hobby. Ten system współgrał z obrazem tego, co Zachód przez długie lata uważał za typ idealny dziecka: niedojrzałą formę dorosłego.

Pytanie jednak, jakie społeczne potrzeby zaspokaja w dzisiejszej kulturze znacznie mocniej scentralizowana pozycja dziecka? Dziecięcy umysł jako krynica zapominanej w ciągu życia szczęśliwości to chyba nie wszystko. Symptomatyczna w tym świetle wydaje się choćby obecność oferty w rodzaju „Małych gigantów”, „Super dzieciak”, „Aplauz, aplauz” itd. Dzieci stają się tam okazją dla dorosłej ekstazy. Śpiew, taniec, wszelkiego rodzaju performance jest punktem wyjścia dla całej historii stojącej za decyzją wzięcia udziału w występach, jednak żadne dziecko w podobnej ofercie nie funkcjonuje bez rodzica. Rodzic jest czymś więcej, niż samym wsparciem: jest trenerem. Przeżywającym w równym (jeśli nie większym) stopniu porażki i sukcesy. W tym świetle szczęśliwe dzieciństwo równa się po prostu spełnionemu rodzicielstwu. Czy obecny konstrukt dziecka staje się zatem okazją do dopieszczenia samooceny? Byłoby to zgodne z intuicjami psychologów ewolucyjnych, według których w społeczeństwie konsumpcyjnym w zasadzie wszystko staje się komunikatem dotyczącym naszej pozycji społecznej, wartości reprodukcyjnej itd. Dziecko jest więc wizytówką statusu społecznego rodzica, więcej, jego (pop)kulturowego kapitału.

Centralna pozycja dziecka może być również rozpatrywana zgoła inaczej: jako siła napędowa rynku, gospodarki nadpodaży. Rozbuchane potrzeby nabywania, bardzo rozpowszechnione wśród młodych, stanowią doskonały stymulator upłynniania gotówki rodziców, dzięki którym społeczeństwo konsumpcyjne wciąż się rozwija i trwa. Skrajny obraz tej zasady widoczny jest choćby w popularnym serialu „Rodzinka.pl”, który niemal każdą interakcję na linii dzieci-rodzice sprowadził do osobliwego festynu targowania się:

„zrobię o co mnie prosisz, ale ty w zamian...” Trójka synów państwa Boskich sprawia wrażenie skrajnych materialistów. Egzekwują od rodziców nowe ubrania, sprzęty, gadżety. Rodzic jest dostawcą zarówno produktów, jak i usług, staje się narzędziem służącym ułatwianiu życia pociech, a biorąc pod uwagę poziom życia Boskich, miesięczne koszty funkcjonowania gospodarstwa domowego muszą oscylować w okolicach 20 tys. zł. Standard dla większości społeczeństwa nieosiągalny, ale mimo to – uwzględnivszy popularność serialu – na dobre ugruntowujący przekonanie, że szczęśliwe dzieciństwo, to dzieciństwo drogie.

Ale obraz ten wciąż wydaje mi się niepełny. Odnoszę nieodparte wrażenie, że proces zatracania dziecięcej, „dziewiczej” umysłowości i przeistaczania się w małego konsumenta przestaje być procesem stopniowym. Moment przejścia trudno jednak jednoznacznie wskazać i opisać. Kiedy on się dokonuje i za sprawą czego? Czy psychologia rozwojowa mogłaby nazwać owe prawidła? Sądzę, że przemiana taka może mieć miejsce gdzieś pomiędzy siódmym a jedenastym rokiem życia. Ale to tylko przecucie. Umocniło się ono jednak na skutek pewnej obserwacji poczynionej niedawno na spacerze. Wychodząc z domu dopadła mnie gromadka dzieci sąsiadów, wszystkie w wieku 5-7 lat. „Proszę pana! – krzyczały – Mamy zemdłałego motyla!”. Podbiegły i wyciągnęły rączki, w których leżał martwy, wymiętolony owad. Ponoć znalazły go przy piaskownicy. Powiedziałem, że on nie zemdlał, tylko pewnie umarł z gorąca. „To sądzi pan, że ożyje, jak polejemy go wodą?...” Ten niewinny obrazek skonfrontowałem jeszcze tego samego dnia z innym. Pod koniec spaceru, w innym miejscu osiedla, minąłem dwie dziewczynki w wieku ok. 11 lat. Jedna mówiła rozleniwionym głosem do drugiej: „Jest u nas w szkole taki chłopak. Kocha się we mnie od kilku lat (tak, lat – T.K.). Stara się mnie zdobyć, ale... – i tu z emfazą przymknęła oczy – ja już nie jestem taka łatwa jak kiedyś”.

***Tomasz Kozłowski**, socjolog, adiunkt w Collegium Da Vinci w Poznaniu. Autor „Samotnego hulaki”, publicysta, popularyzator nauki. Zajmuje się antropologią mediów i popkultury, psychologią ewolucyjną, społecznymi uwarunkowaniami dobrostanu i przemianami pojęcia dzieciństwa*